CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ.

KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK VI NR 1-2

ROK VI **KAMENA** NR 1-2 (51-52)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK 1938 R.

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO-DRUGIEGO

Od redakcji i wydawnictwa		str. 1
LECH PIWOWAR	Apollinaire, poeta cywilizacji	„ 2
GUILLAUME APOLLINAIRE	Cud wojny — —	„ 6
	Więzy — — —	„ 8
ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI	Niebo — — —	„ 8
STEFAN NAPIERSKI	Elegia — — —	„ 9
IGNACY FIK	Ziemia obiecana —	„ 10
CZESŁAW JANCZARSKI	Wieczorem — —	„ 10
STANISŁAW BĄKOWSKI	Młodość wieczna —	„ 11
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI	Wiosło zanurzało się w wodzie	„ 11
STANISŁAW WYGODZKI	Wiersz napisany nocą —	„ 12
JANINA BRZOSTOWSKA	Przystań — —	„ 13
LOLA SZERESZEWSKA	Afryka — —	„ 14
JERZY KAMIL WEINTRAUB	Ballada o dzwonach melodyjnych	15
ROMAN SADOWSKI	Oczekiwanie — —	„ 16
STANISŁAW K. TRAWKOWSKI	Śmierć samobójcy —	„ 16
WIKTOR GWOŹDZIEWSKI	Wspomnienie o Żeromskim	„ 17
ADOLF DICKER	Sad o północy — —	„ 17
STEFAN BARDCZAK	Równe nocą — —	„ 18
MILO URBAN	Skok w przepaść —	„ 18
WŁADIMIR MAJAKOWSKIJ	Na wzór Heinego —	„ 25
VITIEZSLAV NEZVAL	Nieznajoma z Sekwany —	„ 26
LACO NOVOMESKY	Firmament nad Hiszpanią	„ 28
MAKSIM TANK	Nad kołyską — —	„ 29
PAWŁO TYCZYNA	Płacz Jarosławny —	„ 30
Kronika słowiańska	— — —	„ 31
Noty	— — — —	„ 32

Wkładka linorytowa: Eug. Bednarczuka: Włóczęga

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.
Wydawca: Zenon Waśniewski.
Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43
Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.
Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr. Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kameny" wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura" Chełm Lub. 10.

KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK VI WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK NR 1-2 (51-52)

KRWI BOHATERSKIEGO LUDU ŚLĄSKIEGO
PRZELANEJ W WALCE O WOLNOŚĆ ZAOLZIA
HOŁD SKŁADAJĄ
REDAKCJA I WYDAWNICTWO „KAMENY"

OD REDAKCJI I WYDAWNICTWA

Ukazało się dotąd 50 numerów naszego pisma, 14 publikacyj poetyckich „Biblioteki Kameny" i 2 — „Małej Biblioteki Kameny". Rozpoczynamy obecnie szósty rok wydawniczy. Nie będziemy tego nazywali małym jubileuszem, choć w życiu pisma literackiego w Polsce pięć lat to szmat drogi. Oglądając się za siebie widzimy pewne osiągnięcia i liczne niedomagania. Zdajemy sobie dobrze z nich sprawę. Dążeniem naszym jest coraz większe doskonalenie wydawnictwa i usuwanie braków. Liczymy w tym na pomoc czytelników. Bo chcąc podnieść „Kamenę" musimy przede wszystkim powiększyć liczbę jej prenumeratorów. Mimo iż borykaliśmy się z trudnościami finansowymi, nie zwracaliśmy się nigdy do czytelników z prośbą o ofiary na fundusz wydawniczy, uważamy bowiem że podstawą materialną pisma powinien być tylko dochód z prenumeraty. Dlatego wiec dzisiaj apelujemy do naszych przyjaciół i sympatyków, by regularnie wpłacali należność za pismo i jednali nam nowych prenumeratorów.

Rozsyłaliśmy w ciągu pięciu lat egzystencji „Kameny" różnym osobom z różnych względów egzemplarze bezpłatne. I do tych czytelników zwracamy się dziś z prośbą, by poparli efektywnie nasze wydawnictwo i zaprenumerowali „Kamenę".

Dążymy w tym roku do podwojenia liczby prenumeratorów, gdyż w takim tylko razie będziemy mogli zrealizować nasze zamiary. A chcielibyśmy, by każdy za 5 zł. rocznie mógł otrzymywać nie tylko jak dotąd 10 numerów pisma, ale również jako premium bezpłatne 4 egzemplarze wydawnictwa „Małej Biblioteki Kameny". Wierzymy, że nasi sympatycy nas nie zawiodą i każdy z nich zjedna nam przynajmniej jednego prenumeratora.

Śmierć w literaturze jest łatwa, chociaż umiemy się pocieszać. Wiadomo, zawsze pozostaną książki. Ale co pozostanie w książkach? Tylko to, co się wyżyło w życiu dla książek. Apollinaire, oglądany w dwadzieścia lat po swej śmierci, jest tu przykładem o tyle wymownym, że jego życie jest dla nas, jego rodaków, czymś naprawdę nieznanym, jakby nieistniejącym. Naprawdę pozostały jedynie książki. Książki, które — po dwudziestu latach — mogą się stać tak żywą sprawą, przeżyciem tak pasjonującym, że, doprawdy, mało ważnym wydaje się to, czy — jak podaje paryska plotka, w którą on sam podobno pozwalał wierzyć — był on synem prałata i wnukiem generała wojsk polskich, czy też było inaczej. Jest tylko jedna sprawa „życiowa" ważna dla książek. To miłość dla Francji. Z tej miłości urodziła się jego najwyższa i najpiękniejsza książka: Calligrammes. To książka, w której Apollinaire wstąpił na ląd nowoczesności, obejrzał i ukazał nowy świat, wyłaniający się z kurzu Wielkiej Wojny.

Kto wziąwszy do ręki ten gruby tom o dwustu stronicach, wybitych cudownymi (np. „Il pleut") i cudacznymi układami graficznymi, właśnie tymi kaligramami, to zn. poematami rysowanymi, nie zapomni o poprzednich jego książkach, a przede wszystkim o symbolizmie Alcools, ten nie wie, co to jest poezja Apollinaire'a, co to są jej wysokości. Można tłumaczyć, objaśniać i smakować zapachy strof Alcools, zapachy z najprzedniejszych ogrodów poezji, nie będzie to jednak obcowanie z Apollinairem ważnym, aktualnym. Tę ważność wprowadzają dopiero Calligrammes. Sąd nasz może być żywy i gorący przede wszystkim nad tą książką. Może dlatego tłumaczy się u nas najwięcej poematów z Alcools.

Chciałoby się nam teraz myśleć, że Apollinaire to jakieś słońce poezji francuskiej, słońce, w którym skupiły się dzisiaj już wszystkie blaski, jakie może dać poezja. Chcemy Apollinaire'a rewindykować jako wielkość tamtejszą, bezsporną. Musimy sobie powiedzieć, że tak wspaniale się rzecz nie przedstawia. Ten olbrzym miał przyjaciół wśród najtęższych artystów francuskich, rysowali go przecież tacy jak Picasso, to nam wystarczy. Ale poza grupą przyjaciół, którym umiał oddawać co najlepsze godziny i lata swego życia, zaczyna się teren, nad którym on już nie panuje. Będą tam niechęci, które tu u nas znamy zbyt dobrze, aby je brać tragicznie; a jednak ustaliły one dokoła tego zwycięskiego imienia laur nieraz dość gorzki. Podobnie przedstawia się we Francji sytuacja takiego wspania-

łego poety, jak Vincent Huidobro, który także nie był Francuzem, chociaż pisał po francusku.

Nikt trzeźwy, kto się wczyta w poematy Apollinaire'a, nie znajdzie w nich tego, co się u nas powszechnie wmawia najlepszym nowatorom, więc tej „oschłości", „mózgowości", nikt nie zauważy w nich braku rzeczywistości, jakiegoś oddalenia się od życia w świat literatury. Z pewnością nie jest to sztuka dla sztuki. A oto jak zanotowała Apollinaire'a oficjalna krytyka francuska: „Wirtuozeria Apollinaire'a jest zupełnie niezdolna do jakiegoś wielkiego twórczego porywu"... „Objawia on jakieś straszliwe ubóstwo wyobraźni"... „Trzeba podkreślić, że to wszystko (to zn. wiersze Apollinaire'a) jest czysto książkowe i że muza Apollinaire'a wyszła z Bibliotèque Nationale".*)

Ten beznadziejny wyrok na poezję Apollinaire'a nie został wydany — jak przyjemniej byłoby myśleć — w ogniu walki, wtedy gdy wartości, które w poezję francuską wnosili nowatorzy, wydawały się tylko jaskrawe, demonstracyjne, prowokujące. Książka Lalou nosi datę: 1924. Sześć lat po śmierci Apollinaire'a! Lalou zna Calligrammes, zestawia je z Alcools, dostrzega nawet nić jakiejś spoistości wewnętrznej wiążącej dzieła Apollinaire'a, ale ta nić to dla niego tylko „inspiracja książkowa".

Jeśli się to cytuje dzisiaj, to nie tylko po to, żeby określać dwuznaczność pozycji Apollinaire'a w poezji francuskiej; przede wszystkim dla wywiedzenia z tego określeń samej jego poezji. Nie jest to poeta gładki, to jasne, nie jest to poeta łatwy, to jeszcze jaśniejsze, lecz nie był to poeta „czysty", literacki, to jest najważniejsze. Dlaczego on właśnie i jemu podobni wywołują takie opinie jak sąd Lalou?

Jest pewien rodzaj poezji „czystej", który niemal zawsze prześliźnie się przez ostrza najoficjalniejszej krytyki. „Ciemność" Paul Valery'ego nigdy go nie narazi na ostrzejsze ataki, jego wiersze wypchane jak martwe sowy erudycją najbardziej książkową nie sprowadzą na siebie zarzutów o literackości. Zarzuty te trafiają zawsze i wszędzie w tę tylko poezję, która chce takim czy innym sposobem, taką czy inną drogą wyjść z kręgu zamkniętego dotychczasowymi doświadczeniami poetyckimi. Wszędzie nowe idee wydają się najpierw wymyślone, wyniesione z bibliotek, nieżyciowe, chociażby w nich krzyczało najgorętsze nowe życie. Jest to jeden z najbardziej typowych

*) René Lalou: Histoire de la littérature française contemporaine. Paris. 1924. str. 437.

i nieśmiertelnych ataków na każdą nowę ideę, która chce przejść z jednej rzeczywistości w inną.

Poezja takich idei musi szukać kontaktów z całym światem ożywiającym współczesnego jej człowieka. Dwa zdania Apollinaire'a postawią tę sprawę w niedwuznacznym świetle: „Explorer la vérité aussi bien dans le domaine ethnique, par exemple, que dans celui de l'imagination, voilà les principaux caractères de cet esprit nouveau"... „le lyrisme n'est qu'un domaine de l'esprit nouveau dans la poèsie d'aujourd'hui".*)

Po prostu każdy wielki nowator uważa, że jest się tym większym poetą, im rozleglejszym jest się człowiekiem. Mickiewicz także był tego zdania, a Słowacki był piekielnie wykształconym pisarzem. To tylko mierności poetyckie trzymały się zawsze z daleka i ostrożnie wobec rzeczy tak zw. niepoetyckich. Apollinaire walczył o swobodę wybiegania po za to wszystko, co się przyjęło uważać za naturalne rodzaje poetyckie. Jego „książkowa" wiedza otwierała mu bramy szerszego życia. Świat napierał na jego wyobraźnię ze wszystkich stron, tak jak na każdego człowieka, który w jednej godzinie dowiaduje się, że wybuchła wojna, że wyszedł świeży numer Mercure de France, że panika na giełdzie, że Picasso wystawia kubistyczne obrazy, że samoloty wzbijają się już na dwa kilometry do góry, że jeszcze to i że jeszcze tamto. To zbieganie i krzyżowanie się równoczesne wielu dalekich sobie spraw w jednym sercu czy jednej głowie — co niewątpliwie jest jednym ze skutków cywilizacji „technicznej" — musiało wtargnąć w poezję. Nicolas Bauduin nazwał to dobrze: „pewność wszechobecności świata". A Apollinaire tak powiedział: „W dziedzinie natchnienia wolność artysty nie może być mniejsza od tej swobody gazety codziennej, która na jednej karcie rozprawia o przedmiotach najbardziej rozmaitych, przebiega kraje najbardziej odległe. Pytamy się, dlaczego poeta nie miałby mieć podobnej swobody i dlaczego — w epoce telefonu, radia i samolotów — miałby się upierać przy ostrożności wobec przestrzeni?" Słowa te wyjaśniają dokładnie to jakieś synchroniczne — a mające w sobie niewątpliwie wiele z działu depesz ze świata w każdej wielkiej gazecie — dzianie się w jednym planie wielu odrębnych spraw, kojarzenie się wątków pochodzących z najbardziej odległych od siebie dziedzin. Czasami swoboda ta, gdy jest stosowana zbyt po wierzchu, gdy jest zbyt ukazana czytelnikowi — nie wprawia nas już dzisiaj w te

*) Artykuł p. t. L'Esprit Nouveau, w Mercure de France z września 1918 roku.

dreszcze, jakie musiały targać nimi, poetami z przed lat dwudziestu kilku, kiedy upajali się nowościami techniki przenoszącej człowieka błyskawicami w najdalsze kraje i w najegzotyczniejsze sprawy.

Ale posłuchajmy: „Le 21 du mois du mai 1913" — jakiś człowiek wstąpił w ulicę Paryża, grając na flecie — „A ce moment" — Les pigeons de Moluques fientaient des noix muscades — En même temps — Mission catholique de Bôma qu'as tu fait du sculpteur — Ailleurs — Elle traverse un pont... — Au même instant — Une jeune fille amoureuse du maire"*)... Pomyśleć: to wszystko dzieje się równocześnie! Tu blisko, najbliżej i tam daleko, najdalej! Ileż w tym poezji! Myśl o świecie, nabrzmiała liryzmem, która się mogła pojawić tak silna, tylko w epoce telefonu, radia i samolotów.

Myśl ta jednak nie pozostała tylko w tym gwałtownym wzburzeniu wyobraźni, przelewającej się w Calligrammes poprzez rzeczy i sprawy nieraz nic ze sobą nie mające wspólnego; przelała się, chociaż nie do swych ostatecznych konsekwencyj, w formę poetycką, stwarzając nową mowę poezji. Nie bez powodu apologeci swobodnego kojarzenia wyobrażeń, spadkobiercy „wyobraźni bez drutu", nadrealiści, uważali go za swego prekursora. Ale również w tym miejscu, gdzie się zaczynał ten synchronizm, można było oczekiwać narodzenia się mowy metaforycznej. Od Calligrammes można było z niecierpliwością czekać na to sformułowanie: „Metafora jest samowolnym spokrewnianiem pojęć, jest tworzeniem związków pojęciowych, którym w świecie realnym nic nie odpowiada".**)

Mowa poetycka Apollinaire'a to jest właśnie to, co może najbardziej przejmuje do dzisiaj. Nie można się oprzeć temu pędowi wyobrażeń, który porywa w swe wiry wszystkie słowniki uczuć, jakimi może się posługiwać człowiek współczesny. O, bynajmniej nie jest to poezja „czysta", która sobie wybiera przedmioty i słowa, opatruje je ze wszystkich stron, zanim znajdą się w poemacie. Gdyby to nie było u nas ryzykowne, wiele poematów Apollinaire'a można by nazwać publicystyką poetycką w jakimś genialnym wymiarze. Trzeba jednak zważyć tę „publicystykę"! Bo nie jest to tylko sprawa językowa, chociaż najwyraźniej ukazuje ją język tych poematów, język pełny słów codziennych, zwrotów ulicz-

*) Le musicien de Saint-Merry. Calligrammes.

**) T. Peiper „Tędy". str. 46.

nych, wyrazów pochodzących z mowy, jakiej musieli używać ludzie, którzy zaczynali masowo korzystać z telefonu, z samolotów. Wydaje się, jakby wszystko polegało na m ó w i e n i u, jakby te wiersze nie były p i s a n e, tylko w y m a w i a n e, gwałtownie, świeżo, „nową" mową, o której żaden gramatyk żadnego języka nie będzie miał nic do powiedzenia; dokoła tych słów wyczuwa się g e s t y; w sposoby poetyckiego wyrażania uczuć angażuje się c a ł y człowiek, który, oszołomiony nowością świata, w którym żyć zaczyna, „chce nowych dźwięków, chce widzieć z daleka, z bliska" i dla którego „wszystko ma nowe imię".

Już się tutaj przekroczyło granicę nieskazitelnych strof, niezłomnej tradycji „form rytmicznych"; zaczęło się oswobadzanie samych zdań, oswobadzanie przede wszystkim z tej sztuczności składni i mętności wyobrażeń, jakimi okuł je symbolizm. „Calligrammes — mówi sam ich autor — to idealizacja poezji wolnego wiersza". I to także nie jest najważniejsze. Horyzonty zostały otwarte takimi słowami: „J e n e m e s u i s jamais présenté comme destructeur, mais comme bâtisseur".*) W dwudziestolecie dla nas to właśnie jest najważniejsze i najpiękniejsze.

*) Z listu do André Billy'ego.

LECH PIWOWAR

C U D W O J N Y

Jakie to piękne te granaty rozświetlające noc
Wzbijają się na własny szczyt i przechylają się by patrzeć
To są damy które tańczą przyglądając się swym oczom
ramionom i sercom

Poznałem twój uśmiech i twoją gwałtowność

To jest także apoteoza wszystkich moich Berenic których
włosy stały się kometami
Te pozłacane tancerki należą do wszystkich czasów i do
wszystkich ras
Gwałtownie rodzą dzieci którym nic nie pozostaje poza
chwilą śmierci

Jakie to piękne te wszystkie granaty
Lecz byłoby to o wiele piękniejsze gdyby ich było więcej jeszcze
Gdyby ich tu było tysiące mających sens pełny i względny
jak litery książki
Przecież to także piękne że życie tak samo uchodziło
z konających

Lecz byłoby o wiele piekniej gdyby ich było więcej
Tymczasem oglądam je jak piękność która się oddaje i zaraz znika
Wydaje mi się że jestem na wielkiej uczcie oświetlonej a giorno
To biesiada którą wydaje ziemia
Ziemia jest głodna i otwiera wydłużone blade usta
Ziemia jest głodna i oto jej ludożercza uczta Baltazara

Któż by powiedział że można było być w tym ludożercą
I że trzeba było tyle ognia by upiec ciało ludzkie
To dlatego powietrze ma zapaszek spalenizny który daję słowo
nie jest nieprzyjemny
Lecz uczta byłaby jeszcze piękniejsza gdyby nicbo tu jadło
wraz z ziemią
A ono połyka tylko dusze
To taki sposób nieodżywiania się
I wystarcza mu żonglowanie wielobarwnymi ogniami

Ale ja płynąłem w słodyczy tej wojny z całą moją kompanią
wzdłuż długich podkopów
Jakieś okrzyki płomienia oznajmiają bez przerwy moją obecność
Wykopałem łoże gdzie płynę dzieląc się na tysiące rzeczek
które dążą wszędzie
Jestem w okopie pierwszej linii a jednak jestem wszędzie
a raczej zaczynam być wszędzie
To ja zaczynam tę sprawę nadchodzących wieków
Musiałoby się to dłużej realizować gdyby nie opowieść
o latającym lkarze

Przekazuję przyszłości historię Guillaume Apollinaire'a
Króry był na froncie i umiał być wszędzie
W szczęśliwych miastach na tyłach
W całej reszcie świata
W tych co umierają depcząc druty kolczaste
W kobietach w armatach w koniach
W Zenicie i w Nadirze i w czterech stronach świata
I w tym niezrównanym zapale zbrojnego czuwania

A byłoby to na pewno o wiele piękniejsze
Gdybym mógł przypuścić że te wszystkie rzeczy w których
jestem wszędzie
Mogłyby rówież zamieszkać we mnie
Lecz na to nic nie można poradzić
Bo jeżeli jestem wszędzie w tej godzinie to jestem tylko
ja który jestem w sobie

GUILLAUME APOLLINAIRE
tłumaczyła Wanda Markiewiczówna

WIĘZY

Liny utworzone z krzyków

Dźwięki dzwonów poprzez Europę
Wieki zawisłe
Szyny wiążące narody
Jest nas dwóch lub trzech jedynie ludzi
Wolnych od wszelkich pęt
Podajmy sobie ręce

Deszcz nawalny który czesze dymy
Liny
Liny utkane
Kable podmorskie
Pająki arcykapłani
Wszyscy kochankowie których jeden węzeł złączył

I inne więzy bardziej delikatne
Białe promienie światłości
Sznur i Zgody chór

Piszę li po to aby waszą chwałę głosić
O zmysły zmysły najdroższe
Wrogowie wspomnienia
Wrogowie pragnienia
Wrogowie łez
Wrogowie żałości
Wrogowie wszystkiego co jeszcze miłuję

GUILLAUME APOLLINAIRE
spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

NIEBO

Wszystkimi drogami na raz
pędzone od wsi do wsi o żebranej ziemi,
wielkie jak wspomnienie, a nie większe od źrenicy
niebo szło
podpierając się jedyną, krzywą brzeziną.
I tylko czasem podwiózł je o rozstaje
jakiś ubogi krajobraz wyścielony słomą.

Mijane przez ptaki
tuliło do piersi niewidzialne dziecię owinięte w obłok
i nie odwracało przezroczystej głowy,
nawet gdy pozdrawiałaś je
daremnie powiewając widokiem ujętym powieką.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

ELEGIA

Gdzie myśli twojej spocząć, na jakiej krawędzi?
Obłok płonie, jak oko przedwiecznego sędzi,
W przestrzeni, gdzie najczystszym ulatujesz duchem,
Płyniesz, jak płaska strzała, bezustannym ruchem;
Ponad różano-mleczną czeluść podmuch niesie,
Byś skąpał się w źrenicy, tonącej w bezkresie,
I trwał nad bielą blasku w rozchwianym porywie,
Przyciągany na powrót ku dźwięcznej cięciwie,
Która waży się w ręku nieznanego bóstwa.
Lot ukośny, jak opar nad szemrzące usta,
Wypływa, na popiołach niebiańskich się waży,
Na cień — mrok złoty miota — opuszczonej twarzy,
Jak powieka, uległa ślepnącemu oku,
Dygoce nad uśpioną zarysem obłoku.

Pilastry bezcielesne, wężowe kolumny,
Płaszczyzny elizejskie, bite przez koturny
Cherubow, bardzo pysznych, i ponad ugorem
Ubogim połączone płomienistym chórem:
Ich ruchy skrytobójcze, posągowej togi
Rozmach kamienny, fałdy z głazu potok błogi,
Rowkowany blaskami, i w pochyłym wrzasku
Trwający światłocieniem zastygłego blasku.
Łuki malachitowe, jadu kapitele,
Zdarte przez słoty rude i blachy aniele,
Pióra opancerzone, powieki domknione,
Ramię atlety w groźbie nad zielenie słone.

Trony, zmurszałe jak podwodne rafy,
Mchem obrosłe, liszajem siwizny serafy,
Centaury nad urwiskiem i wężowe kłęby,
Jak lubieżnego srebra przeraźliwe trąby,
Zbyt słodkie grania wichrów, najwyższe Potęgi,
Jak ściętego wodoru fioletowe kręgi,
Jadowite źrenice, sny, szczeble niebytu
— Z muzycznego opadasz powoli niebytu,
Nie dotknąwszy granicy, spoczynku niepomny,
Zapatrzony na grodów strzaskane kolumny,
Gruzy ziemi minionej i w bluszczach ruiny,
Pod niebem spopielonym jako pręty liry.

STEFAN NAPIERSKI

ZIEMIA OBIECANA

Krajobraz kominów strzelających salwą poranną — na ludzi.
Przestrzeń, która da się zaskoczyć przez każdy popiołu nasyp,
świt ją próbuje daremnie codzień na inne kontury tłumaczyć—

Gdyby ustawić je przyszło jak rury przyciętych harmonik,
to bym opuścił palce w otwory rozgrzane otwartych pieców,
spleśniałą barwą i wezbranym sokiem
czarnoleskie przywodząc czasy —

— lecz tu nikt nie potrafi powiązać dni swych dziecinnych
z ziemią wilgotną,
z fujarką,
z kląskaniem słowika —
z zieloną dalą.

Wieczór odpadł od miasta — luźno przypięta tarcza —
i w bujne biusty ulic rozpiętych oddechem lamp białych
parne zapadły sygnały —
wracają oczy ulane z lśniącego metalu
nie z wierzby!

W twarz i w piersi siecze idących ludzi
sito wydłużonych świateł —
nie wiedzą, że to ich deszcz wiosenny wzywa!

Wykiełkuj z ziemi!
rośnij! rośnij!

IGNACY FIK

WIECZOREM

Odfrunęły od okna deszczu nietoperze —
po ścieżynkach, po liściach pluszcze, ucieka
za sad.

Więc pójdziemy wieczorem błąkać się wśród ścieżek.
Za kasztanem w błyskawicy krwawy mak.

Niech przeminie w oczkach siwych obawa,
niech przeminie...
To przed blaskiem kasztan szumi ciemnoczuby,
pył motyli szeleści w trawach.

Nad kasztanem dymi obłok miesiąca:
tak pogodna będzie noc szklana.
Więc pójdziemy, żeby cicho strącać
gwiazd listeczki,
pocałunki,
Kochana.

CZESŁAW JANCZARSKI

MŁODOŚĆ WIECZNA

Pod wiechami osędziałych smreków
na górskim wysokim pochyle
mieszka zapach grzybów wspaniały
co siedzą w podszyciu jak w ile.

Ku wiekowych świerków łapciom,
na słonecznych podniebnych wywczasach,
czarnych jagód podchodzą bory,
których czoło sięga ci do pasa.

U starych jodeł wachlarzy
na gór podobłocznych barkach
marudzi dusza, wniebowzięta
z kotła adamowych szarzyzn.

Z nowego igieł dorobku,
co słońcem zielonym łyska,
starą prawdą do niej się uśmiecha
młodość wieczna, oczywista:

bijący nie tylko z pni godnych
ciągły triumf nad zimy zamachem, —
żywica, co cieknie wśród jagód
nad grzybów dostojnym zapachem.

STANISŁAW BĄKOWSKI

WIOSŁO ZANURZAŁO SIE W WODZIE

w stawie tonęły jesienne krzaki
powiew pokruszył słońce na powierzchni wody
milcząca posuwała się łódź
na brzegach drzewa czerwone
szczytami mierzące głąb wody

w spojeniu, gdzie się łączy obraz i natura
ciągnęło się pasmo tajemnicy
powoli zbliżała się łódź
w południowej porze
miała się dotknąć tajemnicy

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

WIERSZ NAPISANY NOCĄ

1.

Długo łomotał nocny wiatr,
długo samotnym drzewem targał
i liść ostatni gdy cicho spadł
pieczęcią chłodu legł na wargach.

Już nie przemówię, zbraknie słów
nad niewymierną smukłość drzewa
kiedy rozkażą i krzykną: mów!
kiedy nadejdą prosząc: śpiewaj!

Milcząc przeminę — w sercu mróz
a w oczach noc i chłód na czole
jakbym w pamięci dźwigał i niósł
chłopca co w boju o Madryt poległ

2.

Chyba przeminę — spełni się czas
moich powrotów, pożegnań moich.
Tam gdzie swym szumem dogasa las
woda szeleści i niepokoi.

Lecz już nie pójdę szelestem wód
sitowie nocy gładząc i pieszcząc
by zachowały ręce me chłód
ostatnich kropli nocnego deszczu.

Tylko ostatni zachowam szlak,
którym odejdę milczeniem chłodu.
Pod cichym niebem przepłynie ptak
i ryba mignie pod wodą.

Nic nie zachowam gdy zdarty strzęp
liściastej chmury — czarny na skraju
jeszcze czarniejszy przebije sęp
w samym śródmieściu Szanghaju.

3.

Tylko to słowo zanim dzień
pobladłym świtem przyjdzie do mnie —
przy stole zniknie czarny cień
niespanej nocy, zła i wspomnień.

Zostanie strofka, zawiła treść
i myśl skreślona nieporadnie
w którą na próżno chciałem wpleść
ostatni liść co zaraz spadnie.

Tam nie ma pieśni i nie ma mnie
choć szumi liść i woda płynie
jak wtedy gdy dziecko poszło w śmierć
a mnie nie było przy niem.

STANISŁAW WYGODZKI

PRZYSTAŃ

Pamiętam szare żagle na płaty dzielące niebo
i drugie, odwrócone w zielonej wodzie.
Pamiętam zbutwiałych masztów pale,
i liny, krzywymi liniami rysujące pejzaż,
i stare rybackie łodzie.
Majaczą sinym obrazem,
wspomnieniem dnia męczącego.

Bardzo bolała mię głowa,
i może tylko dlatego
tak ciche i bezbarwne pokutują
w godzin przeżytych szeregu?

Słone powietrze morza
na wargach czułam
stojąc na brzegu,
a mewy, bawiące się coraz nową falą,
gniewały mnie.

Przeszedł ten dzień —
i dziś — nie wiem —
dlaczego był tak szary,
jak szary cień
twojej odjeżdżającej łodzi.

JANINA BRZOSTOWSKA

AFRYKA

Ziemia jak kocioł miedziany, niebo — miedziana pokrywa,
ludzie spaleni na popiół, ludzie czerwoni jak żużle.
Ze szczytów cienkich wieżyczek muezzin w koran odpływa.
Przez miasto idą kobiety w biel otulone jak w muszle.
Pod palmą leżą wyrostki: żywe, brązowe daktyle.
Dzieciak owinął się wężem, spojrzał bezkreśnie i żebrze.
Żaluzje roślin żarłocznych ciężko opadły na wille,
w ogrodach krwawią granaty, palą się, palą jak w febrze.
Afryka, Afryka, Afryka.

Bajki arabskie ożyły na barwnych zużytych stronicach,
z książki czytanej w dzieciństwie eunuch się wymknął obleśny.
Nad maurytańską kopułą stężała pełnia księżyca,
dwunastoletnia tancerka podrzuca loki i piersi.
Pod turbanami białymi twarze brodate i mądre,
w pustynnej glebie lepione, wiedzą daleką pustynne.
Mężczyźnie w czarnym burnusie, wąsko opiętym na biodrze,
kupiec przy świetle kaganka sny waży chytrze i zwinnie.
O, Afryka, Afryka —

Wielbłąd na piasku bronzowym stoi poważny i szary,
a nad nim niebo zachodu, a nad nim niebo z szafranu.
W ramach olbrzymich opuncji, skręconych sennym koszmarem
widnieją szczyty Atlasu — błękitną fatamorganą.
W czerwonej, spieczonej ziemi, w kasbach glinianych,
czerwonych
mrowią się czarni Cyganie i Arabowie czerwoni.
A w miastach lekkie arkady, arabeskami kreślone,
w miastach pałace sułtana, róże, kadzidła i słonie.
O — Afryka —

Kramy jedwabiu i skóry, kawą pachnące zaułki,
wygięte groźne kindżały, srebrne sprzedażne kindżały,
obłędem skarżą się gongi, obłędem dźwięczą piszczałki
i tłum się goni obłędny, żebraczy tłum oszalały —
Oczy zropiałe i puste, szpony wychudłe, trzęsące,
trądem znaczone ramiona ścianą wyrosły straszliwą.
I chciałbyś uciec. Tłum wzbiera. Sam jesteś w tłumie rosnącym.
W miedzianym kotle zniszczenia. Pod nieba ciężką pokrywą.
W Afryce.

LOLA SZERESZEWSKA

BALLADA O DZWONACH MELODYJNYCH*)

„Potrącałem, czy wiecie, florydy bajeczne"
J. A. Rimbaud

WŁADYSŁAWOWI JAWORSKIEMU

Drzemały w jego piersi melodyjne dzwony,
gdy opuszczał o zmierzchu archipelag wiosny.
A zachód kładł na wodę rdzawych zórz pontony
i zdala konstelacje noc srebrzystą wiozły.

A nie wiedział o zmierzchu, że odszedł za wcześnie,
choć z dala tliły echa niedalekich zdarzeń,
że ów dzwon melodyjny zadźwięczy boleśnie
żałobną melancholią po zgasłym pożarze.

Bo ów popiół miast wiatrom huczącym powierzyć,
zamknął wtedy o zmierzchu w rozdzwonioną urnę.
I odszedł niespokojny wśród szarych wybrzeży
w czasy, ponad którymi zwisło dziwnie chmurne

czoło nieba. Niebaczny na czułe przestrogi
kochanki, w której oczach dzwonił ciemny błękit,
wpłynął w siebie, jak w groźne i rozstajne drogi,
gdzie bolesną czułością dogasały dźwięki.

Poznał stepy zielone i żółte pustynie
i czas, co chmur kirami jasne niebo powlókł.
Wtedy czuł, że echo nieuchwytnie zginie
dawnych zdarzeń, jeżeli nie zadźwięczy powrót.

Więc wracał niespokojny, tęsknotą spowity,
w ojczyznę drzew łagodnych, których drobne listki
znały młodość bezmierną i szumiące mity
wydarzeń i zapatrzeń i miłości wszystkich.

Więc wrócił w dawne wyspy wspomnieniami zdobne,
patrząc w okna i dawno niewidziane twarze.
A ujrzał archipelag, okryty cynobrem,
jesienią bezlitosną, listopadem zdarzeń.

Ujrzał pustkę dokoła, mauzoleum wspomnień,
więc wrócił w ciemną przyszłość małą, wątłą łódką.
A ów dzwon w jego piersiach, o którym zapomniał,
zadźwięczał. Więc go nazwał ciemnym dzwonem smutku

JERZY KAMIL WEINTRAUB

*) Wyjątek z tomu p.t. „Wrogi czas", który ukaże się wkrótce nakładem księgarni F. Hoesicka.

OCZEKIWANIE

mój zegar strasznie idzie powoli wlecze nogi
a ja już chciałbym ujrzeć przystanek tramwajowy
za rogiem tuż przy skwerku na oczach wszystkich okien
przywitać się spojrzeniem z tęsknotą rąk klonowych

za rogiem tuż przy skwerku o całą myśl od dworca
jest przystań z naszych ulic przypomnień i zawodów
zbiegamy się codziennie — zegary wolno idą —
a klony drżą w koronach ktoś mówił: — to od chłodu

czy przyjdzie dziś na pewno? — jak dawno było dobrze
jak bardzo trzeba czekać na chwili okruszynę
za rogiem tuż przy skwerku czekamy ludzie z ulic
z klonami snem zrośnięci: na wiosnę i dziewczynę.

ROMAN SADOWSKI

ŚMIERĆ SAMOBÓJCY

Śpiew nad łąką w daleki nieba granat krwawo,
zachodzi dzień w ciszę wieczoru w — ććććicho.
Skok w dół, w dół z piątego piętra wykładanego różami
(konnica biegnąca, kawaleria narodowa schyliła granaty przed
wyrzutem)

(obsypała nas trotuarem, nieskończonością)
śmierć?
Jest brom — chorzy nie mogą spać.
Eterem nakrapiana sala: lancetem rozkłuwamy śmierć, po co?
Chirurgowie białe szaty odrywali od swego ciała,
operacja składana na stoliku leży w sali
cuchnie eter: chorzy nie mogą spać.
praktykujący medyk rozpłakał się w sali dyżurujących lekarzy;
naczelny lekarz słucha, że nr 7 odkrył nieznany świat.
Nieodratowany samobójca z nr 7 wtłoczył ciało w kostnicę
i bladym krzyżem nakrył świat zachodzący w Apokalipsę;
chudzi epileptycy śpiewali o ziemi, która pijana księżycem,
spowiednik radził nie robić dołu z desek — raczej obmurować
nieznane ziemią

poza murami:
cmentarz umknął w bok pozostawiwszy nieodkryte doły pełne
samobójcy.

STANISŁAW KAZIMIERA TRAWKOWSKI

WSPOMNIENIE O ŻEROMSKIM

Święte, jasne brzozy boleją wśród nocy...
Nad drogą luta żałość olchami
ku polom wiecznością ogłuchłym
popłynie!
Białe anioły skrzydła śmiertelnej
dobroci powloką!...

Myśli w łukach cierniowych
rozpięte nad sercem bezdomnym!
O, świerki złotą płaczące żywicą!
Na swych ramionach cały świat
w milczeniu trzeba ciągnąć!

W rozłogach umączonej ziemi,
w ugorach nietoperzej ciszy
przypomnij:
niebo rozpięte w hymny
i świeża, ostra na mogiłach
zieleń!

Święte, jasne brzozy boleją wśród nocy...
O, jakaż okrutna radość dana
jest źrenicom!
Z pól wiecznością ogłuchłych,
z wnętrza dymiących wiosen
o twarz uderzy rzeka życia!...

WIKTOR GWOŹDZIEWSKI

SAD O PÓŁNOCY

nadpływa zmierzch i gwiazd archipelag
zmartwiałe ciszą drzewa
księżyc czujnie śledzi splot ramion—
a tu cieniem sad kłamie
sonata żab ze stawu
pianissimo sadu
księżyc steruje cieniami
— samotny i blady
przewraca godziny
za nami północ nadchodzi — — —

ADOLF DICKER

RÓWNE NOCĄ

Umilkły ulice jak mechanizm w zepsutym zegarze
i wnet pełną piersią odetchnęły domy,
słuchacze referatów, które nikogo nie obchodzą,
w tępym uporze zacięli prostokątne twarze,
by nikomu
nie wyszeptać tajemnic, co wewnątrz się rodzą.

Pędem ulicami galopadą — rejteradą
spłoszone latarnie
uciekają dwurzędem,
noc je u brzasku w zapaskę śniadą
jak kurczęta zgarnie — —
droga na wschód prowadzi tamtędy.

Zawróćcie na północ za Wielkim Wozem,
za wami księżyc,
miast wszystkich i miasteczek honorowy obywatel,
właśnie nad Równem jak nad obozem
dzwon nieba naprężył
i w pierwszą uderzył na apel.

Uchyliła się jakaś brama — lekko jak powieka we śnie,
spóźnionych gości wypchnęła kawiarnia
i tylko cień jak pies za nimi pobiegł,
a już na wschodzie (jak to latem wcześnie)
brzask kurzawę mgieł znad czoła zgarnia
i wstaje leniwo jak człowiek.

STEFAN BARDCZAK

SKOK W PRZEPAŚĆ

On był młodym, zaledwie świeżo upieczonym nauczycielem, a ona młodą dziewczyną, córką Pawła Wahana, On uczył, a ona, ponieważ Wahanowie mieszkali najbliżej szkoły, codziennie, rano i wieczór, nosiła mu w wielkim, kwiecistym garnku mleko.

On, inaczej Vlado Klan, od dziewcząt stronił, a ona idąc gdziekolwiek, kołysała się na szerokich mocnych biodrach. Zdrowe, słońcem opalone nogi, połyskujące świeżością jak bukowe stylisko, przykładała do ziemi po mału i cicho, ponieważ zawsze była bosa. Dlatego Klan właściwie nigdy nie słyszał, kiedy do niego przyszła. Pukać to nie pukała. U nich wchodziło się wprost, bez pukania, nie wiedziała nawet w ogó-

le o tym, że się puka.

Zwykle tak bywało, że Vlado Klan słyszał jej głos dopiero wtedy, gdy stała już na progu i z uśmiechem na szerokiej twarzy mówiła:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry, Anica — odpowiadał.

Stała zmieszana z kwiecistym garnkiem w ręku, a on nie wiedział, czy rzec coś jeszcze, czy po prostu wziąć garnek i przelać mleko. Ale kiedy czuł, że tego, co powiedział, było mało, zwyczajnie mimo woli jakoś dodawał:

— Mleko?

— Mleko — śmiała się Anica.

Byłby niechybnie powiedział więcej, bo Vlado Klan mówić umiał, ale na twarzy Anicy było tyle oddanej pokory, jakiegoś niewolniczego oczekiwania, i Vlado Klan odnosił wrażenie, że ta szeroka, szczera twarz dałaby się miesić jak kawał ciasta. To budziło w nim lęk i przerażało go. Brał mleko bez słów, przelewał, płukał garnek, a Anica, powiedziawszy „z Bogiem", odchodziła do domu. Na tym, od czego się zaczęło, byłoby się i skończyło, gdyby... nie... tak. Gdyby Vlado Klan nie był z tych ludzi, którzy się nad wszystkim zastanawiają i wszystkiego chcą dociec. Ale Vlado Klan, chociaż to nie miało w ogóle znaczenia, poważnie zamyślił się jakoś i doszedł do wniosku, że Anica odchodzi od niego bardzo prędko, prędzej niżby według zwyczajów towarzyskich powinna. Mleko mu nosi, a stara Wahanowa pieniędzy nawet przyjąć nie chce, mówiąc:

— A tam jeszcze, może za mleko. Przecież by mi Pan Bóg nie pobłogosławił, jakbym za pieniądze dawała. Mamy mleka, Bogu dzięki, dość...

Dobrzy ludzie, dobrzy sąsiedzi... On przeleje, wypłucze, poda i Anica kołysząc się na szerokich, mocnych biodrach, odchodzi. Tak. To tak wygląda jakby on był dziwakiem, odludkiem, jakby nie potrafił nawet miłego słowa powiedzieć. A to znów... Nie. Przecież by i on gdyby... Ale dziewczyna... Dlaczego stara nie przyjdzie, tylko dziewczynę posyła?

Może to haczyk? Vlado Klan był chowany w bojaźni. W domu byli rodzice, a w szkole profesorowie. Wspólnymi siłami postawili w jego życiu okropne straszydło czarnych przepaści, w które wpaść może nieostrożny przechodzień i ocknąć się dopiero gdzieś na dole piekła. Ciężkie obrazowo podawane traktaty o szóstym przykazaniu bożym, rozmaite przykłady z biblii, ustawiczne wspominanie Sodomy i Gomory, niepewnych dróg świeckich rozkoszy — wytworzyły w Klanie to straszne przekonanie, że kiedykolwiek pomyślał o kobiecie, widział zer-

wany most, a pod nim czarną przepaść, która nie miała dna, nie miała końca

Vlado Klan, choć dwadzieścia pięć lat rozhukanych śpiewało w jego żyłach, z niedowierzaniem patrzył na wszystko, co miało spódnicę. Owładał nim jakiś niewysłowiony, dziwny strach. Dlatego obojętnym, rytmicznym głosem pytał: „Mleko?" Płukał kwiecisty garnek, oddawał Anicy, a ta powiedziawszy „z Bogiem" odchodziła do domu.

Odchodziła. Ale w tych odwiedzinach brakowało czegoś ludzkiego, naturalnego. Brakowało czegoś, co by to mleko uczyniło mlekiem, czymś niezbędnym do życia. I zamyślił się Vlado Klan znowu. Po długim zastanowieniu doszedł do wniosku, że wobec Anicy powinien być bardziej towarzyskim.

I stał się bardziej towarzyskim, chociażby dlatego, ponieważ przekonał się, że to nie wymaga specjalnego kunsztu i że Anica nie może być dla niego żadnym uosobieniem niebezpieczeństwa. Śmieszne. Kiedy stała na progu z pokornym uśmiechem, rozlewającym się po szerokiej twarzy, była raczej godna politowania. Ręka z kwiecistym garnkiem opadała wzdłuż ciała, oczy rozszerzone wpijały się chciwie w usta Klana i wisiały na nich jak dwie spragnione pijawki. Dlatego rozmowa, która kiedyś kończyła się na mleku, przedłużała się o cały szereg pytań i odpowiedzi.

Klan naprzykład zapytał się:

— Jakże tam, Anica, jakże?

— Dobrze, panie nauczycielu — odparła.

— Co robicie?

— Orzemy. Prawie dziś wyszli pierwszy raz. Wieczór będzie oblewanie.

Był to zwyczaj, powracających oblewano, aby urodzaj darzył się wielki. Vlado Klan wprawdzie nie oblał nikogo, ale drugiego dnia pytał Anicy:

— Kogo Anica wczoraj wieczór oblewała?

— Kogo się ino dało. Wzięłam wiadro i dalej od kraja.

— Hm... To Anica taka odważna?

— Dlaczego?

— A no tak oblewać.

— O, to u nas każdy — przeciągnęła Anica.

Wlokło się tak dość długo. Klan się pytał, a Anica odpowiadała ochoczo, uprzejmie i trochę wstydliwie, ale te wahające odpowiedzi, uderzająco podobne do cichego, kołyszącego chodu Anicy, miały jakąś dziwną siłę. Wiązały i wrzynały się w pamięć. A kiedy odeszła, zdawało się, że wciąż

jeszcze stoi tam na progu z kwiecistym garnkiem i mówi coś bardzo długo, przeciągając...

Raz idąc po wodę spotkał ją Vlado Klan na podwórzu przy studni. Studnia należała do obu domów, tylko od Wahanów prowadziła do niej bramka przez stodołę. Kiedy przyszedł, Anica ciągnęła wodę i mimo sprzeciwów napełniła jego konewki; potem bez wahania chwyciła je i chciała odnieść do szkoły.

— Cóż to Anica wyprawia? — krzyknął.

— Ciężkie są, odniosę panu — rzekła z przekonaniem.

— Cóż Anica myśli, że nie mam siły?

— Ale panu nie przystoi!

I odeszła mimo protestów. Klan, oparty o studnię, patrzył na nią bezradnie. Kołysała się w szerokich mocnych biodrach ręce napięte trzymały konewki, a nogi podobne do dwóch bukowych słupków przykładała ciężko do ziemi.

Na dworze leżał zielony wiosenny zmierzch, przesycony zapachem ziemi i Anica podobna była do głazu, co spadł ze stromego kopca, za którym słońce gdzieś jeszcze świeciło. Dziwne to było. Dziwne i zawstydzające trochę. W kobiecie nauczyli go widzieć złośliwe stworzenie, które patrzy tylko, jakby ugryźć, i dlatego jest niebezpieczne. A Anica, która mogła naprawdę gryźć i mocnymi rękami łamać na dwoje, niesie mu dobrowolnie dwie konewki wody do domu.

To Klana rozbroiło jakoś, ciepłą ręką przeszło mu po duszy, owiało go świeżym wietrzykiem nowych przejawów życiowych, nowymi możliwościami... Te słowa były jak kawał chleba podanego na gołej dłoni.

Klan ani spostrzegł, jak się zapalił. Mała, suchotnicza niegdyś duszyczka, poczęła się rozwijać, puszczając setki nowych, mocnych pędów.

Było to z końcem wiosny.

Buczyna się zieleniła.

Klanowi mleko smakowało wybornie. Anica z kwiecistym garnkiem w ręku, długo wystawała na progu, ale Klanowi i tego było mało. Wychodził z nią na dwór i tam jeszcze długo mówił. W końcu wyszła i stara Wahanowa, a wtedy rozmawiali i śmiali się we troje.

To przecież było jasne. Klan był sam daleko od matki.

Język miał, obracać nim potrafił.

Dni były piękne, pełne szorstkiej trawy i młodych miękkich liści, którymi pyszniła się natura, a i ludzi rozpierała mło-

dość, Noce rozpływały się w ciepłej ciemności. Ci, którzy w te ciemne noce spali, prężyli się. Mięśnie napinały się w mocnym tworzeniu, a skóra na nich paliła niewidzialnym ogniem.

Było to życie przetkane jednym olbrzymim splotem żył nabitych ruchliwym sokiem, życie roślin, zwierząt i ludzi.

Vlado Klan utonął w nim dosłownie. Nawet nie spostrzegł, jak wieś oplotła go, schwyciła tysiącem drobnych macek i przycisnęła do siebie. Uczył dzieci, w niedzielę grał na organach w kościele i śpiewał, wieczorami zaś chodził po wsi i gwarzył to o tym, to o owym, Nauczył się gestykulować i kląć, kiedy było potrzeba, spluwać i stroić żarty. W tym zalewie śmiałych, soczystych słów sztucznie sprecyzowane zdania ze szkolnych podręczników pierzchły gdzieś, a Vlado Klan czuł się teraz jak jodła na polanie. Spostrzegł, że życie nie jest paragrafem, że nie istnieją dla niego żadne prawidła, że to wszystko, co się o życiu gada, jest kłamstwem. Istnieje życie w nim ludzie, a wszystko inne to zabawki, które sobie ludzie wedle potrzeb zmieniają i ustawiają.

Widział to.

W końcu pojął. Nie rozumowo. O, nie. Z ziemi, po której stąpał, weszło mu w żyły, wlało się w komórki i przenikło go na wskroś. Było to coś organicznego, żywiołowego, przeciw czemu rozum darmo się opierał,

Potem kiedyś, było to w czerwcu, kiedy koszono trawy, wyszedł Vlado Klan w pole. Tak tylko, bez czapki, w rozpiętej marynarce, jak chodzą młodzi, silni parobcy. Zielone życie zielonymi rękoma wabiło ze wszystkich stron, owiewało go upojną wonią i szeptało do uszu zielone słowa. Słońce wyciągnęło srebrzyste ramiona, a Vlado Klan czuł, jak go drażni po całym ciele, gładzi, tak że chciało się podskoczyć w górę i krzyknąć na głos, jak to czynią mali chłopcy. Był to istny zalew radości. Kosiarze śpiewali na przemian z grabarkami, poganiacze krzyczeli na woły... Vlado Klan, spity życiem, szedł długo. Widział dużo, ale czuł jeszcze więcej, nie zdawał sobie jednak sprawy, co widzi ani co słyszy. Sączyło to się w niego, a on czuł, jak mu się pierś wypina, a nogi mimo woli pędzą gdzieś naprzód. Nawet nie wiedział, gdzie się znajduje, ale znany głos wyrwał go z tego upojenia.

— Gdzież to, gdzie, panie nauczyciel? — zasrebrzyło się w powietrzu.

Spojrzał w tym kierunku. Stał na siwej stromej drodze, a nad nią wyżej jeszcze, na zboczu obrosłym wokół leszczyną, stała — Anica. Czerwony gorset płonął na niej, spódnica z mo-

drego materiału wzdęła się, a nogi połyskujące w słońcu jak dwa mocne korzenie wpiły się w ziemię.

Nie, to nie była Anica. To był olbrzymi, dziwny kwiat, który wystrzelił na tej uboczy i jaśniał, gorzał jak olbrzymi zapalony snop. Vlado Klan nie mógł dobyć słów. Patrzył z podziwem. Ale ona przyłożywszy ręce do ust zawołała:

— Chodźcie mi pomóc.

Spokojnie, radośnie, przebiegło polem to wołanie. Ale to nie było tylko wołanie. To był rozkaz, konieczność. Vlado Klan pobiegł. Za chwilę zdyszany, spocony stał przy Anicy.

— Pomóc? pytał łapiąc powietrze.

— Przecie nie ma pan innej roboty — odpowiedziała śmiejąc się. Składała siano w kopy. Vlado zrzucił marynarkę i zaczął jej pomagać. Nosił pełnymi naręczami. Było jak morze. Utopić chciało się w nim, tak pachniało, dziwne, kruche i radosne, kryjące w sobie tajemnicę ziemi i pól. Istniał między nim, a ludźmi jakiś tajemniczy stosunek, związek krwi. Tak, była to zielona krew potężnego kołowrotu życia, która się przewala całym organicznym światem, która dobywała niezliczone mnóstwo komórek i nowych radości. Ta krew zielona z uboczy powędruje w bydło, z bydła w ludzi, a z ludzi na ubocz i tak w koło póki, nie zgaśnie słońce.

W tej woni zielonego siana Vlado Klan rozdygotany, nie wiedząc nawet jak, przytulił się do Anicy. Stało się to już przy ostatniej kopicy. Oboje przynieśli naraz po naręczu, i gdy je składali, ciała ich gorące, podrażnione krwią zetknęły się jak błysk, który w tej przedziwnej zielonej atmosferze zamroczył ich. Nie wiedzieli, co się dzieje. Spojrzeli po sobie. Długo patrzyli rozszerzonymi oczyma, gdy wtem Vlado Klan chwycił Anicę, przycisnął do siebie — i począł całować. W pewnej chwili pocałunki zmieniły się w dławiące uściski, ciała ich sprężyły się, zachwiali się — i padli razem na ziemię...

Vlado Klan tego wieczoru wrócił do domu zdenerwowany. Był roztargniony. Myślał o tym, potem znów o owym, ale z wszystkiego biło to przenikające uczucie, to nieruchome sprężenie ciała. Czuł, że się coś załamuje pod jego nogami, trzeszczy, a jednak: myśl jego pociągała ubocz, Anica podobna do płonącego snopa i ten upojny pocałunek. Tak to było: serce pęczniało z rozkoszy, ale rozum przekornie dźwigał się w głowie i groził ostrzegająco: Vlado, Vlado!.. Uważaj!...

Vlado Klan siedział na schodkach szkoły i począł dumać.

— Dlaczego uważaj? — pytał siebie — czy inni nie całują, czy inni nie kochają? Przecież nikt nie musi...

Chciał siebie pobić jakimś mocnym argumentem, ale czuł, że gdyby go nawet znalazł, nic mu nie pomoże.

Ilu ich to mówiło... — uśmiechało się w nim to drugie skrzywionymi ustami.

— Ci wszyscy byli słabeusze — oponował Klan.

Przyjemnie mu było myśleć, że on będzie właśnie silny, przemoże pokusę. Nie ci są mocni, którzy unikają pokus — cytował z jakiejś książki — ale ci, którzy narażając się na nie, — przezwyciężają je.

Czuł już niemal rozkosz zwycięzcy.

— Jedna jest tylko prawda, jedna — wołała krew Klana — żyjesz, więc czyń, co każe życie.

To drugie w Klanie ulękło się. Ale nie traciło nadziei. Schyliło się do ucha Klana i szeptało straszne słowo:

— Przepaść!

— Przepaść... powtórzył Vlado Klan.

I wyrosła przed nim przepaść. Przerwany most, a pod nim przepaść nieskończona, taka, jaką mu w szkole przedstawili katecheci. Zrobi krok, potknie się, wpadnie w nią i leżeć będzie wiecznie... Nie będzie już Vladem Klanem. Nie będzie należał do siebie. Coś z tego wiecznego, z tego żywego dostanie się poza niego i zacznie się jakieś okropne wrzenie, życie nowych jednostek, nowych pokoleń, nowego przelewania się żywej materii, tragizmów i uśmiechów, społecznej grozy i cichych idylli. Gdzieś w mgłach dalekiej przyszłości stały już szeregi złoczyńców, morderców i mnichów, głosicieli słowa bożego, roje szaleńców i genialnych wynalazców, Arystotelesi, nowi Neronowie, Lindberghowie i Hartmanni, spokojni wieśniacy i niespokojne tłumy wielkomiejskich peryferyj. Coś groźnego. A Vlado Klan stał między nimi, jako protoplasta, jak oś, która roztoczyła swe olbrzymie groźne kolisko. W tym strasznym wirze tak dziwnie wyglądało jego krótkie bezpretensjonalne nazwisko...

Tak dziwnie płonął czerwony gorset Anicy...

On i ona. On młody nauczyciel, a ona młoda dziewczyna po Pawle Wahanie...

Przyszli skądś i kwiecisty garnek ich złączył. Śmieszne. Ale skąd przyszli? Czyż oni też nie należeli do takiego groźnego koliska?

Na wieś tymczasem siadała noc. Spokojna letnia noc, w której cicho marły terkoty wozów i ludzkie pogłosy. Żółte światełka ciekły jeszcze miejscami z okien, w prochu dróg, podskakiwały leniwie żaby, a na podwórzach od czasu do czasu poszczekiwały psy.

Vlado Klan westchnął i utkwił wzrok na szopie Wahanów.

Stała na ziemi mocno, prosta jakby jakieś naturalne prawo. Nie chciało się wierzyć, że to szopa, ale niósł się stamtąd zapach siana — zielonej krwi.

Vladowi przyszła na myśl ubocz, Anica i pocałunki. Wstał niepewnie, z wahaniem i jak lunatyk ruszył z miejsca. Przyszedł pod studnię, potem pod bramkę, wiodącą na podwórze Wahanów, ale nie zdawał sobie sprawy, po co tam idzie...

— Przepaść — tańczyło mu w głowie jedno słowo.

Chwycił wrota, pchnął je, ale poczuł, że równocześnie z drugiej strony też próbuje je ktoś otworzyć. Otwarły się po mału, jakby nieśmiało.

Za nimi stała Anica.

Drgnęli. Chcieli krzyknąć ze zdziwienia. Chcieli się usprawiedliwić, ale gardła ich nie mogły dobyć głosu. Anica wstydliwie odwróciła się, a Vlado Klan ruszył za nią. Tak bez słów stanęli pod drabiną w stodole i bez słowa wyszli na szopę do pachnącego siana, w zieloną krew. Tylko ktoś spod drabiny, ktoś niewidzialny niemym głosem zawołał:

— Przepaść!... Dokąd tam idziesz?

Ale Vlado Klan już tego nie słyszał. Wszedł w ciepłą ciemność, jak się wchodzi do domu, pełzał nią i przepaść ta w niej nie była ani czarna, ani groźna. Była prosta i naturalna, bez pytań i odpowiedzi, jakimi są w ogóle wszystkie rzeczy naturalne na świecie. Nie pytał się ojciec Vlada Klana, Ondrej Klan, i nie pytał się też Vlado Klan. Nachylił się i — całym swym młodym ciałem — rzucił się w nią.

Rzucił się w przepaść.

Rzucił się tak, jak się rzucali od niepamiętnych czasów przodkowie Vlada Klana, Ondrej Klan i inni...

MILO URBAN
ze słowackiego przełożył Antoni Brosz

NA WZÓR HEINEGO

Błyskawicę mi wzrokiem ciska:
„Widziałam —
tyś inną mamił.
Ty najpodlejszy,
ty, gadzie śliski"...
I poszła precz
i poszła
i poszła z wymyślaniem.
Nie jestem głupi, miła,
więc przestań grzmieć tak pięknie.
Gdy błyskawica twa mnie nie zabiła —
to grom twój
już mnie nie przelęknie.

WŁADIMIR MAJAKOWSKIJ
z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

NIEZNAJOMA Z SEKWANY

Po deszczu który kreślił w zaroślach swe linie
zmoczone słońce pierze fartuszek zbrukany
Praczki idą parami i dźwigają dzbany
zmoczone słońce pierze fartuszek zbrukany
fartuszek który płynie po Sekwanie sennie
praczki idą parami idą jak na scenie
jak córy izraelskie co w pochodzie kroczą
jak małe tanecznice które wabią oczy
idą jak roztańczone miłości boginie
po deszczu który kreślił w zaroślach swe linie

Woda mieni się wkoło jak najdroższy topaz
a praczki zanurzają się w niej prawie po pas
ich przyjaciółki które nad rzeką mieszkają
jak syreny wraz z nimi kusząco śpiewają
śpiewają a przy śpiewie o rybakach marzą
spowite w poobiedniej błękitnawej parze
z której w myślach im rośnie czarnej łodzi dziób
a na niej rybak suszy sieć i liczy łup
dziewczęta wyśpiewują piorąc modre szatki
w których pysznią się później w święta Bożej Matki

Jak piękny można uśmiech wśród tych praczek spotkać
Jak ładna jest ta Baucis jak Madlena słodka
grzybienie im całują przy bieliźnie ręce
widzą swoje odbicia jak je fale kręcą
w których płyną ich lata płyną wraz z rybkami
w których dziewczęta staną się już babuniami
Pod wieczór ich szatkami Sekwana upstrzona
ich szatkami pięknymi jak i ich imiona
ich nóżkami śmigłymi wodniki się pieszczą
one świecą rybakom i budzą w nich dreszcze

Piękne praczki Ninono Baucis i Ireno
każdy rybak da uwieść się śpiewom syreny
Zachód rozżarzył już swe diamentowe rampy
niebiosa się mieniły krwawym amarantem
Sekwana uroczysty swój huczała chorał
noc jako śnieżnobiały mieniła się koral
noc się upodobniała do rusałki chutnej
z dala się psów szczekanie rozlegało smutne

I skąd dochodzi uszu to straszliwe wycie
Miesiąc sypie pył srebrny na fal rzecznych bicie
z nizin słychać podmuchy nocnego mistralu
co miesza się do pieśni która brzmi z oddala
miesiąc sypie pył srebrny na fal rzecznych bicie
na cień co skrzy się w sieci potarganych niciach
jako kredowy albo koralowy pąk
na białą pierś dziewiczą skamieniałość rąk
na białą pierś dziewiczą skamieniałą szyję
Z miast zatopionych dzwony pogrzebowe biją

W tej nocy marmurowej jak w muszli łupinie
mała martwa dziewczyna cicho łódką płynie
mała martwa dziewczyna naga topielica
zenitalna jej piana plami blade lica
i tren jej sukni białej zbłocony ohydny
jej małe śliczne usta w uśmiechu zastygły
trwałym jak ten co na pośmiertnej masce gości

w uśmiechu który śmierci płacił jak miłości
którym łudziła jak łabędzi łudzi śpiew
jak ranny daje ziemi sączącą się krew

Martwa ty nieznajoma siostro gwiazd i pyłu
uśmiechu który wskrzesić już nie mamy siły
powiedz coś tam widziała w owej chłodnej chwili
co roztkliwiło ciebie w moczarów topieli
Czy nic jest takie słodkie gdy nam skrzydła złamie
nic które czas tak miele jako młyński kamień
nic które od miłości nas zbawi utarczek
nic które od starości uratuje zmarszczek
powiedz coś tam widziała w swym śmiertelnym śnieniu
czy nic jest tylko nowym zdrojem co nas zmieni?

Martwa ty nieznajoma my bezradne dzieci
Czy śmierć przed nami gwiezdne ogrody rozświeci
w których wszystkie łzy ludzkie tylko śmiechem będą
jak w wierszach haszyszowych w naiwnych legendach?
A może wieczność to jest tylko pusty ul
lub wyczerpana studnia wśród bezwodnych pól
lub rozpadnięty kryształ rozmoczona sól?
Czy człowiek to lunatyk którego żre ból
a który zapomina już po przebudzeniu
i o rodzinnym domu i o swym więzieniu?

Psy wyją po zagrodach kotłuje się w toni
Wszak w twym uśmiechu mieszka dziś gwiezdna harmonia
słodsza niźli harmonia wieczorów gwiaździstych
poważniejsza nad tony hymnów uroczystych
rzewniejsza niźli rzewne umieranie kwietne
miększa niźli łagodny pędzel Tintoretta
zaczarowana niby złej Dalili pycha
i spokojniejsza nawet niż mogiła cicha
prosta jak mchy sędziwe na poszyciu dworów
zawrotniejsza niż taniec gwiazd i meteorów

Odwróciłaś się w śmierci swej od życia czary
które ciebie przywiodło aż nad te moczary
jak choroba jak wicher jak pomór jak jad
Śmierci wielka wspaniała jak siklawy spad
oślepiająca wzrokiem jak złośliwy gad
grząska jak topielisko trwożąca jak grad
o śmierci zatopionych świątyń talizmanie
pieczęci, którą wielbię i którą wraz łamię
odwracam się od twoich purpurowych miast
odwracam się od luster twoich i od gwiazd

Martwa ty nieznajoma ty łabędziu modry
coś wodę piła z rzeki zapomnienia szczodrej
małe praczki w świątecznych idą szatach pierwsze
by pogrzebać twój uśmiech który łowim w wierszach
idą jak roztańczone miłości boginie
po deszczu który kreślił w zaroślach swe linie
trzymają próżne dzbany jakby jakieś urny
w pochodzie kroczą niby izraelskie córy
w pochodzie kroczą niosąc swe serce w ofierze
za martwą której słońce fartuszek wciąż pierze.

VITJEZSLAV NEZVAL
z czeskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

FIRMAMENT NAD HISZPANIĄ

Już wiem, że wzbił się z modrych dali morza
jam świadkiem jego był wniebowstąpienia,
kiedy się wznosił z nieskończonych modrot
z patosem albatrosa.

Była w tym chwała uniesienia
i była cierpkość w tym westchnienia
był wzlot to firmamentu
południowego firmamentu
nad wody, ziemię na niebiosa,
przed nimi modrą dłonią skrywa
żywych i martwych.

Za gwiazdą wciąż przypina sobie gwiazdę,
zasłuży sobie wszystkie ich błyszczące rzędy,
za męstwo dekoracja!

Tej wojny w każdej bitwie stawał
wczoraj i dziś
a jutro będzie stać
ponad namiotem wodzów,
na straży przed okopem,
wszędzie.

A drży jednakże po dniach krwawych,
snać przeraziło go pobojowisko
albo też noce,
rozdygotane noce południowe
gwiazd migot w niebie rozłamują.

Błysk oczu gwiezdnych płonie gorączkowo,
na palcach stąpam kiedy on majaczy,
dziś jest tak straszny.

Dałem mu biały bandaż z śniegu Guadarramy,
lecz nigdy tego nie zapomnę,
jak w jego piersiach charczał nalot eskadr,
jak zęby drżały mu w rechocie kulomiotów
na kaszel wybuchów
na ciemne palce w cieniu ruin,
na wojnę pod nim
na wojnę w nim
na wojnę w firmamencie,
błękitnym firmamencie.

Pragnąłem stada wszystkich gwiazd policzyć na nim
lecz spłoną.
Rozrechotała się wszak palba karabinów
i gwiazdom starym nowe gwiazdy słała,
ratata —
Boże —
szrapneli tusz.

I któż te strzały może,
i któż te gwiazdy może,
i wszystko to policzyć może któż?

LACO NOVOMESKY
ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski

NAD KOŁYSKĄ

Wciąż wietrzyka kołysze się wiew,
otrząsając listowie wśród drzew.
Mętnie gasną jesienne już dni.
Oj, sokole mój, nie płacz i śpij!

Będę ciebie kołysać ja wciąż,
w czarnej nocy popatrzę się gąszcz.
Nad kołyską, nad niebem twych ócz
dzikich gęsi przesunie się klucz.

Gdy usłyszę skrzydlaty ich gwar,
wyjdę w pole, poproszę o dar,
może prośbę mą przyjmie ich słuch,
i przyniosą dla ciebie mi puch.

Jest daleko tam w mieście zły dom,
kroki straży wciąż ciszę w nim tną,
w ciasnej celi na pryczy nie raz
ktoś myślami wpatruje się w nas;

słyszy: spada za liściem wciąż liść,
że marudzisz, że sen nie chce przyjść,
i że zimę wichury gna swist.
Śpij... A jutro napiszem mu list,

że nie płaczem, choć smutek się wkradł,
żeś ty urósł, że z ciebie jest chwat,
czapkę jego wnet wsuniesz na skroń
i już z wiosną pług ujmie twa dłoń.

W drzewach liści kołysze się miedź,
iskry gwiazd łowi rzeka w swą sieć.
Nie martw się... Wszystkie dzieci już śpią.
Chcesz, będziemy łowili je z nią?

Lecz z tych gwiazdek, co niebny pstrzą dach,
nie rusz tej, co się w ludzkich szkli łzach;
i tych drobnych pozostaw też miał,
kto go wie, coby przynieść ci chciał.

A bierz tę, która jasno się lśni, —
będzie gwiazdą przewodnią twych dni.
Teraz śpij... Piesń zanucę ci, chcesz?
I kołyskę osypię twą też.

(ze zbiorku „Pad macztaj")

MAKSIM TANK
z białoruskiego spolszczył K. A. Jaworski

PŁACZ JAROSŁAWNY

Śnieżek. Śnieg.
Na trzemie książęcym legł.
Dzień i noc dokoła niego chodzi,
głos jej z płaczem biegł:
—Kniaziu, ach, kniaziu młody,
czyś ty za Dunajem?
czy przepływasz Don?
Wieść o sobie podaj,
bo mnie czeka zgon.

Nasłuchuje kniahini — tylko śnieg,
tylko śnieżek się unosi,
a za polem, a za lasem
głód i drżący głosik:
Wojna, tatku!
Matki brak!
Kto zaorze, kto zasieje? —
Tak — tak!
Ach, jaka pustka zieje.

I kniahini znów:
— Usłuż, wichrze, wichrze śmiały,
by mąż wrócił zdrów.
Kniaź z drużyną gdzieś w odwrocie,
słaby w dłoni miecz, —
odwróć ty od niego strzały
i odeślij wstecz.

Nasłuchuje kniahini — a wiatru już nie ma
tylko śnieg i zima,
a za polem, a za lasem
słychać głosy:
My ci odwrócimy!
My ci odeślemy!
Będziesz leżeć jak twój książę —
kamień niemy...
Ach, jaka pustka zieje.

— Dnieprze, ojcze ty nas wszystkich,
dobrze ciebie znam.
Wstań choć ty, gdy nie ma kniazia
wskrzesić państwo nam.
Państwo ciche, prawe
i mądre na schwał:
aby jeden ziemi patrzał,
drugi o tron dbał.

Nasłuchuje kniahini — tylko śmiech.
tylko drwiący śmiech
i coś huczy, huczy, huczy
spopod chat, spod strzech.
Może wróci kniaź z pochodu?
Może wierny jego huf? —
Nasłuchuje kniahini — mieczy szczęk
i wciąż bliższy gwar i jęk:
my ci wskrzesimy!

Ach, jaka pustka zieje.

PAWŁO TYCZYNA
z ukraińskiego spolszczył K. A. Jaworski

Tak wybitna na przestrzeni dziejów słowackich ostatnich 40 lat indywidualność jak ks. Andrzeja Hlinki nie mogła zostać bez echa w literaturze. Przy czym nie tylko naukowa, historyczna czy polityczna literatura widziała w Hlince przedmioty swych zainteresowań. Osoba Hlinki przeszła i do literatury pięknej. Jeszcze przed wojną w dramacie „Krutohlavci" F. Urbanek przedstawił Hlinkę pod postacią księdza-narodowca, który jest prorokiem słowackiego odrodzenia. Najmocniej przedstawił Hlinkę Milo Urban pod postacią księdza Andrzeja Czernovskiego w „Hmlach na ùsvite". Hlinkę chciał też przedstawić w swojej powieści „Svetlo v temnotach" Bielik (jest to pseudonim znanego polityka V. Szrobara) pod postacią Andrzeja Krasnana, ale w rzeczywistości trudno jest między postaciami Hlinki a Krasnana szukać jakichkolwiek cech podobieństwa.

Postać Hlinki, tak jak swego czasu wszystkie postaci obrońców ludu, przeszła też do literatury ludowej. O Hlince już śpiewa się piosenki. Postać Hlinki utrwala się w literaturze coraz mocniej.

*

Śląski Związek Literacko-Artystyczny grupujący literatów i artystów polskich z dawnego Śląska za Olzą w programie swej działalności postanowił m. in. nawiązać bliższy kontakt z literaturami bratnich narodów, a przede wszystkim z literaturą słowacką. Obecnie w miesięczniku „Sztorcem" wydawanym pod auspicjami tego Związku w Cieszynie Zachodnim, a redagowanym przez Pawła Kubisza ukazały się następujące przekłady utworów słowackich poetów: Vl. Roy: „Tristia", L. Novomesky „Ballada o szczęściu", Jan Smrek: „Z górskiej wsi", Ludo Ondrejov „Powiastkę piszę", Jan Smrek „Marsz bezrobotnych", Paweł Hlbina „Z księgi psalmów" i M. Halamowa „Modlitwa poety". Przekładów dokonał A. Brosz.

*

Tegoroczny almanach wyd. „Kmen" pod redakcją Roberta Koneczny'ego („Basnicki Kalendar" 1918 — 1938) jest w całości poświęcony przeglądowi poezji czeskiej i słowackiej za okres dwudziestolecia niepodległości i stanowi pięknie pomyślaną i interesującą antologię. Część pierwsza (Prolog ze tmy) obejmuje najbardziej reprezentacyjne wiersze związane z wojną lub protestujące przeciw niej. Część druga („Domov a svet") mówi o budowie republiki, o nędzy i kryzysie, o Związku Sowieckim, Hiszpanii, o śmierci Ot. Brzeziny, F. X. Szaldy i prez. Masaryka. Część trzecia („Dusza a svet") — tytuł tłumaczy się wyraźnie. Ostatnia — czwarta („Prolog do svetla") jest pieśnią przyszłości. Antalogię uzupełnia 16 fotografij różnych dzieł sztuki czeskiej i słowackiej,

*

W Wilnie ukazał się nowy tom poezyj młodego poety białoruskiego Maksima Tanka (właściwe nazwisko: Awgeń Skórka) pt. „Pad macztaj". Książka oprócz kilkudziesięciu wierszy (niektóre pierwszorzędnej wartości) zawiera mocny poemat epiczny „Kalinowski", osnuty na tle udziału Białorusinów w powstańczej walce r. 1863 z najeźdźcą rosyjskim i będący apoteozą narodowego bohatera, który występował w obronie uciskanego ludu białoruskiego i został stracony na szubienicy. Przypominamy, że poemat o tym bohaterze wydał również w r. 1934 w 70 rocznicę jego męczeńskiej śmierci drugi zdolny poeta białoruski — Michaś Maszara.

*

25 sierpnia r.b. po powrocie z emigracji zmarł w Leningradzie w 68 roku życia Aleksander Kuprin.

*

W sierpniu rb. zmarł w Warszawie publicysta i literat rosyjski, z pochodzenia Polak, Antoni Dąbrowski. Zmarły był współpracownikiem kilku pism emigracyjnych i autorem opowiadań osnutych na tle osobistych przeżyć w ZSSR. Ostatnim jego większym utworem była powieść „Iwan Kaliużnyj" drukowana w r. 1937 w „Mieczu" a później wydana osobno.

NOTY

11 WRZEŚNIA r. b. upłynęło sto lat od urodzenia Adama Asnyka. Ten cyzelator formy, twórca pięknych poematów tatrzańskich i mądrych jakże nieraz dzisiaj aktualnych liryk refleksyjnych, powinien się doczekać swego renesansu. Wpiszmy do sztambucha dzisiejszych mącicieli pokoju i poniewierców ducha ludzkiego te oto słowa poety: „Nie zawsze narodów pycha, Bezmyślna władania chuć, Przed siłą ugnie się cicha, By w oczy ofiarom pluć. Nie zawsze na cudze chciwa, Będzie wśród przekleństw i skarg Kuć drugim kajdan ogniwa, Aż własny zakuje kark. Powoli światło się wciska I dalej posuwa w głąb... A jak Jerycho w zwaliska Od dźwięku runęło trąb, Tak runie w świetlanej zorzy Więzienia ponury gmach... I ludzkość oczy otworzy Po przykrych zbudzona snach".

ZMARŁ STANISŁAW SZOBER, uczony i Człowiek, niestrudzony bojownik o czystość języka polskiego. Zgon jego odczuwa nie tylko nauka, lecz i literatura nasza.

ŚMIERĆ MARIANA ZDZIECHOWSKIEGO, wielkiego uczonego, filozofa i humanisty jest poważną stratą dla naszej nauki. Przypominamy na tym miejscu mądre słowa autora „Byrona i jego wieku" powiedziane na uniwersytecie wileńskim podczas nadawania mu tytułu doktora „honoris causa":

„Piętnowałem to zwyrodnienie miłości ojczyzny, które nazywamy nacjonalizmem. Wzywałem młodzież do uprawiania jedynej polityki, jaka panować powinna w murach uniwersytetu, wzajemnej życzliwości i tolerencji; niech młodzież polska postępuje tak, by wyraz „Polska" nie odpychał, lecz atrakcją był dla wszystkich narodowości w skład państwa wchodzących; pociągnąć zaś ku sobie, ku Polsce można (wedle Förstera) tylko wielkością, nigdy zaś małością duszy".

NOBLIWIE. Któż nie zna pięknych „Kryjaków" Wielopolskiej, kto się nie wzruszył czytając wstrząsający opis stracenia Trauguta i jego towarzyszy lub patrząc oczyma zakutego w kajdany i bitego co chwila „w mordę" p. Majewskiego — na taniec jego żony z Moskalami... Widocznie z latami serce kobiece stwardniało, skoro taż sama pisarka, świeżo kreowana współpracowniczka „Merkuriusza Polskiego Ordynaryjnego" tak oto potrafi pisać (w № 42 tego pisma) o nieżyjącym już Ossietzkym: „zastanówmy się nad skandalem, jakim było zagraniczne odznaczenie najwyższym wyróżnieniem moralnym p. Ossietzky'ego, który od lat pokutował w swoim kraju za zbrodnię natury politycznej państwowej". Tak kilkakrotnie przez „pan" z soczystym podtytułem „odznaczenie zdrajcy". I tak o człowieku, który mogąc opuścić Niemcy hitlerowskie dobrowolnie w nich pozostał, aby umrzeć jako ofiara obozu koncentracyjnego. O człowieku nieżyjącym, który zginął za swe przekonanie. Który nie był wcale wywrotowcem, komunistą, nawet żydem. Który tylko miał odwagę potępiać wojnę. Artykuł nosi tytuł „Nobel a nobliwość". Istotnie, bardzo nobliwy artykuł pani Marii Jehanne hr. Wielopolskiej.

OFENSYWA Nowaczyńskiego w № 43 „Prosto z mostu" świadczy o tym, że niedawny współpracownik „Wiadomości Literackich" jest kiepskim strategiem. Przecież Neuwert wbrew swym intencjom stwierdza czarno na białym, że „Żydowie"-„wydawcy" położyli dla kultury polskiej wielkie zasługi. Bo nawet jeśli się zgodzić z przekonaniem Nowaczyńskiego, że „pacyfikowali" Niemcewicza, Kraszewskiego, Anczyca, ba — „kontrolowali" produkcję Lelewela i Mickiewicza, to sam fakt, że pierwsze wydanie Mickiewicza zawdzięczamy „izraelicie" poznańskiemu I. A. Munckowi, że Wawelberg „wysoce zasłużony filantrop i społecznik, fundator wielu instytucji wydaje pierwsze popularne wydanie („wydaje wydanie sic! przypis. „Kameny") Mickiewicza, „wydaje Orzeszkową i Trylogię, wprost bajecznie i po królewsku opłacając swoich autorów" (widocznie lepiej byłoby, gdyby umierali z głodu — przypis „Kameny"), że Żeromskiego, Daniłowskiego, Struga i Berenta wydawali „Gabriel Centnerszwer i J. Mortkowicz, obaj jako kupcy-przedsiębiorcy, ludzie nie już bez zarzutu, ale wzorowi, (podkreślenie „Kameny"), przy czym

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Natalia Arsieńniewa: Pad sinim niebam Wilnia 1927
Jan Baranowicz: Pieśń o jaworowym krzaku, Katowice. 1938
Edward Bladowski: Zieleń i czerwień. Warszawa 1938
Józef Brzezicki: Ras Seyoum, Stanisławów 1938
Józef Brzezicki: Triumf świtu i łzy, Stanisławów 1938
St. R. Dobrowolski: Janosik z Tarhowej, Warszawa, Hoesick 1938
Czesław Garda: Konfrontacje, Łódź. 1938
J. Huszcza: Ballada o podróżnych, Wilno, Zw. Zaw. Lit. Pol. 1938
Jerzy Hulewicz: Czarna fala. Warszawa 1938
Matej Jevjak: Slovenska straż, Zubrohlava 1938
Bronisław Kamiński: Pieśni barbarzyńcy, Kraków 1938
Bronisław Kamiński: Przeciw — poemat. Kraków 1937
B. Grzymała Kamodziński: Wieczność świecąca, W-wa, Hoesick 1938
Jadwiga Korczakowska: Miłość Marty, Wyd. S. Dippla, Poznań 1938
Jadwiga Korczakowska: Chiński dwór 1938
A. Kowalkowski: Dal widziana, Bydgoszcz, Rada Art.-Kult. 1938
Jalu Kurek: Myślom ciasno, Kraków, Geb. i Wolff 1938
Aptoni Madej: Drzewo figowe, Warszawa, B-ka Zet 1938
Adam Madler: Irena Munk, powieść, W-wa Hoesick 1938
Michaś Maszara: Maliunki, Wilnia 1934
Michaś Maszara! Na sonieczny bierag, Wilnia 1934
Michaś Maszara: Wiasiellie, Wilnia 1934
Michaś Maszara: Śmierć Kastusia Kalinouskaga. Wilnia 1934
Michaś Maszara: Na pradwieśni, Wilnia 1935
Michaś Maszara: Mamczyna Gorka, Wilnia 1936
Michaś Maszara: Liogki chleb, Wilnia 1936
Michaś Maszara: Czort z podpieczcza, Wilnia 1936
Michaś Maszara: Z pad strech sałamianych, Wilnia 1937
Anna Nieławicka: Ametystowy dzień, Wilno 1930
Stanisław Piętak: Obłoki wiosenne, Warszawa, Hoesick 1938
Lech Piwowar: Co wieczór poezje, Kraków, Geb. i Wolff 1938
Julian Przyboś: Równanie serca, Warszawa, Hoesick, 1938
Jerzy Putrament: Droga leśna, Wilno, Zw. Zaw. Lit. 1938
Anatol Stern: Rozmowa z Apollinem, Warszawa, Hoesick 1938
Wilhelm Szewczyk: Hanys, poemat, Katowice 1938
Maksim Tank: Żurawinawy ćwiet, Wilnia 1937
Maksim Tank: Pad macztaj, Wilnia 1938
Stanisław Ton: Szary człowiek, Warszawa, Hoesick 1938
Michaś Wasiliok: Z sielanskich niu, Wilnia 1937
Juliusz Wit: Wam, Warszawa, Geb. i Wolff 1938
St. I. Witkiewicz: Sonata Belzebuba, Warszawa, B-ka Ateneum 1938

Z przyczyn niezależnych od redakcji „Kamena" rozpoczęła VI rok wydawniczy z opóźnieniem, za co bardzo przepraszamy. Numer następny (podwójny) ukaże się w drugiej połowie grudnia.

Piękna i Języka Polskiego entuzjasta, z geszeftmacherem nie mający wspólnego": — Sam fakt ten charakteryzuje chlubnie tych wydawców, tym bardziej, że Nowaczyński stwierdza dalej, iż wydawnicze „domy aryjskie nie ryzykowały przeważnie z obiecującymi debiutantami a zawsze brały autorów już skąd inąd renomowanych, pewnych, patentowych". Czyli, że gdyby nie ci „Żydowie"-„wydławcy", Żeromski, Daniłowski, Strug i Berent nie mogliby w ogóle swych pierwszych kroków w literaturze postawić! Jak to powiedział Krasicki: — „Czyń, co możesz i dziełmi sąsiadów zadziwiaj... nie masz chrztu, coby zmazał twoj grzech pierworodny". Ale przepraszam, jest chrzest niezawodny: zostać nacjonalistycznym publicystą...

P. S. Nowaczyński („w każdym calu Europejczyk", jak określił go kiedyś Napierski) uzasadnił całkowicie tę opinię redaktora „Ateneum" proponując mu w Ofensywie z № 48 „Prosto z mostu" zmianę pseudonimu Napierski na „Napierdzki". Więc tyle zostało dzisiaj z świetnego ongiś pióra: czerniakowskie kakalambury... — kaj —

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. St. B. W POZNANIU: Dziękuję serdecznie za pamięć i miłe słowa. Skorzystamy. O recenzjach nic nie wiem. Książeczka wyczerpana.

P. ST. BARD. W ZŁOTOLINIE: Całości drukować nie radzę. Wybór można by wydać pod egidą Małej Biblioteki Kameny. Warunki podajemy

P. M. STRYJ. W GRUDZIĄDZU i P. Z. MIK. W LUBLINIE Z nadesłanego wyboru nic skorzystamy.

P. A. IW. W RZETNI: Dziekuję serdecznie. Proza może pójdzie.

P. M. LUR. W „Linoskoku" proponujemy poprawkę: zam.: „hen w dole" odpowiednik trzysylabowy bez tego „hen".

NADESŁANE

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ostatnio na łamach „Orędownika", „Małego Dziennika", „Prosto z mostu" oraz „Kroniki Polski i świata" miały miejsce wystąpienia przeciwko „Wymiarom", w których zarzucano naszemu pismu bądź to, że zachowało się niepatriotycznie w czasie odzyskiwania przez Polskę Zaolzia, bądź to, że stanowi organ mniejszości żydowskiej w Łodzi, bądź jedno i drugie razem. Ponieważ sugestie te mogły przedostać się do tej części społeczeństwa, której opinię cenimy wysoko, pragniemy, korzystając z gościnności Pańskiego pisma, dać wyjaśnienie.

1) Nieprawdą jest, jakoby pomawiany o brak patriotyzmu artykuł p.t. „Znak czasu" pióra Jerzego Korwin Kosarskiego (pseudonim Tadeusza Sarneckiego) w 4 nr. „Wymiarów" ukazał się w okresie podniesionych przez Polskę żądań rewindykacyjnych pod adresem Czech. Artykuł ten, dotyczący w swojej myśli przewodniej sytuacji środkowo-europejskiej, napisany został w połowie sierpnia b. r., a opublikowany 8 września b. r. czyli w momencie, gdy jedynie III Rzesza domagała się autonomii dla Niemców sudeckich.

2) W sprawie rewindykacji przez Polskę ziemi Zaolzańskiej „Wymiary" nie zajmowały stanowiska obojętnego lub krytycznego, czego dowodem jest artykuł „Cierpkie pobratymstwo" pisany w połowie września b.r. a drukowany w 5 nr., który ukazał się w sprzedaży dnia 4 października r. b.

3) Nieprawdą jest, że w skład redakcji „Wymiarów" wchodzą poeci Miecz. Braun i Miecz. Jastrun i że pismo jest „organem mniejszościowym". Redakcję „Wymiarow" stanowią Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew, a pismo opiera swą pracę na współudziale szeregu pisarzy z Łodzi i spoza Łodzi, drukując każdą wartościową rzecz polskiego autora bez względu na jego pochodzenie.

W świetle powyższych faktów kampania przeciwko „Wymiarom" określonej części prasy nabiera właściwego wyrazu.

Redaktor i wydawca „Wymiarów"
TADEUSZ SARNECKI